

Szanowni Państwo!

To, o czym Anna Przewłocka i ja chcemy Państwu opowiedzieć, ma charakter retrospekcji. Dla mnie samej jest to nawet retrospekcja podsumowująca, bilans trwającej już dziesięć lat wymiany, wspólnej pracy, powstałych w niej związków i dojrzałej przyjaźni między ludźmi uczestniczącymi w ruchu partnerskim psychiatrii w Krakowie i Bethel. Dla mnie osobiście retrospektywa ta oznacza coś kończącego, ponieważ moje odejście z Bethel nie pozwoli mi już działać w tym związku partnerskim. Jednak w przyszłości, już z Rendsburga będę nadal pracowała dla idei partnerstwa polsko-niemieckiego

Anna i ja, na zmianę, przedstawimy Państwu ten okres w czterech etapach – i odpowiednio do tego ulokujemy nasze referaty, które właściwie stanowią jedną całość. Pierwsza część opisuje nasze zbliżenie się do kraju naszego dzisiejszego partnera. W części drugiej opowiemy o powstaniu partnerstwa, zaś w trzeciej o jego przebiegu. Wreszcie w czwartej części – podsumowującej – i bardzo krótkiej – zastanowimy się nad tym, czego nam potrzeba, aby takie żywe kontakty partnerskie utrzymać przy życiu. Może nasze wspólne przemyślenia posłużą innym za impuls do pójścia w naszą stronę.

1. Droga do Polski

15-20 lat temu nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że oto kiedyś znajdę się w jakimś miejscu, jak to miejsce dzisiaj – i będę mówiła o partnerstwie niemiecko-polskim, jako właśnie o trwającej już 10 lat współpracy między Krakowem i Bethel. Ponieważ, nawet przy całej fascynacji Polską nie potrafiłam sobie wyobrazić, że będę ten kraj odwiedzała bogatsza o wiele innych opinii, niż te, które posiadałabym będąc tylko turystką – z oczami otwartymi na piękno miast i krajobrazów.

Jednak już wtedy byłam zafascynowana polską kulturą, tą dostępną dla mnie. Literatura, malarstwo, grafika, a szczególnie polskie kino – nigdy nie zapomnę scen z filmu “Zezowate szczęście” – wywierały na mnie ogromne wrażenie. Przyznam szczerze, że z tych być może sztucznych i pośrednich doświadczeń powstał w moich oczach mój własny obraz Polski i Polaków. To wyobrażenie o szczególnym rodzaju ludzi, jakim są Polacy, dotyczyło przede wszystkim ich uroku, odwagi i talentu, z którym na co dzień zmagają się z trudnościami – a z jakimi sytuacjami polski naród już nie był konfrontowany na przestrzeni historii?

Ta zdolność pokonywania trudności życiowych wynikała, tak sądzę – z faktu, że ludzie w Polsce nie tylko umieli przeżyć w trudnych sytuacjach, ale nadal w nich żyją. Bardziej nawet w nich umieją żyć, niż ci, którzy w lepszych warunkach powinni mieć lub nawet chcieć żyć. Przede wszystkim mam wrażenie, że ten talent do życia – w przeciwieństwie do zwyczajnego przetrwania – był u nich o wiele bardziej wyraźny, niż u nas Niemców.

Do tego dołączył pewien rodzaj podziwu, ale nie ślepego podziwiania. Przyznaję, że do nieograniczonego podziwu mam spory dystans. Także nie podzielam takiego sposobu podziwiania, który u nas Niemców wywoływany jest z poczucia winy z powodu okropieństw zdarzeń w historii, a którego skutków nie mogę zaakceptować w postaci realiów, jakie by one nie były. Zamiast tego starałam się, nie wiedząc na ile to się uda, wyrobić sobie takie stanowisko, które było próbą połączenia wszystkich tych właściwości, i które dlatego właśnie doprowadziło do zauważenia wad małych i dużych oraz wielkich zalet.

Ale nie tylko kultura przeciągnęła mnie na ich stronę – także historia i historie Polaków kazały mi z ciekawością patrzeć na ten kraj. Przede wszystkim była to ich zdolność do przeciwstawiania się zniszczeniu w sferze geograficznej, kulturowej, a także narodowościowej, co często było dla mnie powodem do podziwu.

W XVIII wieku Polska była trzykrotnie podzielona na zabory i rozdrobniona - i przetrwała mimo to jako naród ze swą kulturą. Państwo narodowe wyłuskane przez Polaków od tak

długiego czasu, już od swego początku nie zaakceptowane przez państwa sąsiednie - doznało tylko prawie dziesięciu lat demokracji i miało tylko dwadzieścia lat - aby znów zostać zniszczone. I w końcu także - właśnie przez Niemców - próbowano świadomie zniszczyć Polskę nie tylko psychicznie, ale także jako naród z jego kulturą. Kraj ten musiał ścierpieć dwóch okupantów, w tym jeden terror niemiecki, ponosząc niezliczone ofiary okupacji.

Tymi ledwie poruszonymi sprawami chciałabym podkreślić szczególnie dwie rzeczy: po pierwsze fakt, że Polacy nigdy nie poddali się całkowicie panowaniu totalitarnego okupanta, a po drugie aspekt, który osobiście bardzo cenię u Polaków, że sami Polacy w bardzo niewielkim stopniu byli w stanie, jeśli w ogóle sami są skłonni do panowania, które prowadzi do dyktatury. Najwyraźniej cecha taka jest im bardzo daleka.

Jednocześnie te godne podziwu cechy wzbudzają obawy. Być może zabrzmiało to jak paradoks, ale to właśnie te pozytywne strony nakłoniły mnie do dokonania porównania między Polakami i Niemcami. Wynik był wręcz bolesny; działał na mnie jak lusterko do podglądania ludzi na płaszczyźnie narodowej i osobistej. Zauważyłam braki, których przedtem nie uświadamiałam sobie.

Przede wszystkim jedna cecha, być może zwana typowo niemiecką, ugodziła we mnie: postawa wobec wykonywania obowiązku. Ja osobiście zawsze uważałam się za osobę, która chętnie spełnia swoje obowiązki. Właściwie postawa godna pochwały. Jednak jej znaczenie, a przede wszystkim jej oddziaływanie na ludzi w świetle historii Polski, stawiają nad nią dramatyczny znak zapytania. W końcu postawa wielu Niemców, którzy w okresie nazizmu podejmowali nieopisanie potworne działania, brzmiała także tak: wykonuję tylko swój obowiązek. Jednak: mimo wypaczenia tego słowa w przeszłości muszę przyznać, że nadal z pewnych wartości - jeśli nawet teraz z dystansem i znacznie bardziej krytycznie - jestem bardzo dumna.

W stosunkach między Krakowem i Bethel w rzeczywistości już nie chodzi o działanie z perspektywą kata i ofiary, co często jeszcze odbija się w tle kontaktów i spotkań Polaków i Niemców. Chodzi o to, jeśli nawet nie przede wszystkim - o krytyczne podejście do wartości, które dzisiaj są powszechnie obowiązującymi, a które mają tak duży wpływ na naszą pracę psychiatryczną, i które dopiero umożliwiają jej efekty. Jednocześnie wszyscy powinniśmy być świadomi, że wartości te są narażone na niebezpieczeństwo wypaczenia, jak to w końcu pokazała historia stosunków niemiecko-polskich tego stulecia.

2. Pierwsze spotkania, pierwsze zbliżenia

Tak już się czasami zdarza, że człowiek dostaje od życia okazję, chociaż wcale na nią nie liczył. Gdy zdarzyła się okazja, aby z grupą pracowników psychiatrii pojechać do Polski, nie mogłam się zdecydować, aby przyłączyć się do tej grupy. Za duży był jeszcze rozdźwięk między zainteresowaniem, a obawą, że nie będę umiała spotkać się z Polską. Ale kiedy pierwsza grupa Polaków odwiedziła Bethel, na szczęście nie uniknęliśmy tego, że i nasza rodzina zaprosiła do swojego domu jednego z gości. Gościem tym była Anna Przewłocka.

To bezpośrednio, a przede mnie nieświadomie wywołane spotkanie, przyniosło pewien zwrot w moim stosunku do Polaków. Nasze pierwsze spotkanie spowodowało, że rozdźwięk między ciekawością, a strachem, natychmiast przeważył szalę w stronę ciekawości - miało to także, ale nie tylko - związek z osobą Anny. Poczulałam, że z moimi obawami na pewno muszę się rozprawić. Nie mogłam już dłużej pozwolić, aby mnie hamowały.

W ciągu tygodnia tej wizyty okazało się dalej, że pani Szymusik jako szefowa pielęgniarek Uniwersyteckiej Kliniki Psychiatrycznej interesuje się pracą Kursu Psychiatrii dla pielęgniarek i pielęgniarzy, który wówczas prowadziłam. Odwiedzała nasz kurs w czasie pracy w towarzystwie mężczyzny, o którym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, kim jest. Mówił po niemiecku i tłumaczył, a w czasie tej półtorej godziny naszej pracy o roli pielęgnacji w psychiatrii, gdy dosyć bojowo zajmowaliśmy się naszymi zadaniami, był wesoły, a nawet

rozbawiony, i na koniec stwierdził, że koniecznie musimy pozostać w kontakcie. To zainteresowanie i cała osobowość Adama Szymusika, bo to on był naszym rozbawionym gościem, jak też i jego żony, udowodniły mi dodatkowo, że stracę coś ważnego, jeśli nie skorzystam z tej szansy, która może przynieść zawodową, a to znaczy bardzo współczesną konfrontację.

Tak więc, wtedy byłam już nie tylko w stanie, ale nawet zapaliłam się do tego, aby wykorzystać następną okazję i pojechać do Krakowa. W grupie pięciorga współpracowników z Bethel odwiedziliśmy szpital psychiatryczny ze zleceniem, aby znaleźć możliwości do przekształcenia intencji wynikających z umowy o partnerstwie w konkretne działania.

Podczas wizyty w Szpitalu im. Babińskiego natrafiliśmy na możliwe zadanie dla tej pracy, a mianowicie w zakresie pielęgnacji. Gołym okiem można było stwierdzić, jak ogromnie obciążone były tam pielęgniarki i pielęgniarze, i jak nieliczny był ten personel. Ogromne oddziały z niewyobrażalnie małym, jak na nasze wyobrażenie, personelem i skromniutkim wyposażeniem, pozwalały przypuszczać, jak ciężka musi być ich praca. Nasza decyzja, aby tej dziedzinie poświęcić szczególne starania w ramach współpracy, początkowo spowodowała u moich polskich kolegów ostrożną powściągliwość. Wydawało mi się, że stwierdzenie, a nawet obietnica, że teraz musi się pilnie coś zrobić, nie były im obce. Niestety, miałam także wrażenie, że za tymi obietnicami nie zawsze szły działania.

Pamiętam jeszcze doskonale, że w ten wieczór, gdy siedziałyśmy razem z pielęgniarkami, mimo wypitej małej wódki, stało się dla mnie nagle całkiem jasne, że nie mogę czynić ofert współpracy, jeśli jej rzeczywiście nie pragnę i jeśli nie będę konsekwentnie umiała jej dotrzymać kroku na długi czas.

Ponadto stało się dla mnie jasne, że tu nie może i nie powinno chodzić o jednostronne "uszcześliwianie" dobrymi czynami, lecz o dopuszczenie wzajemności na różnych płaszczyznach. Bardzo dobrze widziałam, że tym silnym, świadomym kobietom nie są potrzebne ciepłe słowa i współczucie. One potrzebowały dodatkowego wsparcia ich w tym, co polskie kobiety opanowały po mistrzowsku, a mianowicie w improwizowaniu i pokonywaniu braków.

Kręciło mi się w głowie od tego wszystkiego: rzadko w moim życiu zawodowym znajdowałam się w sytuacji, gdy słowo "Tak" w sposób całkowicie nieobliczalny wepchnęło mnie w obowiązki. Natomiast jeśli nawet patrząc z perspektywy sytuacja ta trochę mnie bawi, wtedy nie mogłam przewidzieć, jaką korzyść przyniesie mi to wypowiedziane słowo "Tak". Tak więc pierwsza wizyta w Krakowie miała dla mnie taką intensywność, że z perspektywy może mieć wymiar wręcz patetyczny.

Ciągle spotykałam ludzi, którzy mnie zachęcali, dodawali otuchy i pomagali poczynić kroki, których uczynienie wcześniej uważałam za niemożliwe. To Tadeuszowi Zaleskiemu i jego subtelnemu towarzyszeniu zawdzięczam, że mogłam udać się do Oświęcimia, mimo iż tam znalazłam potwierdzenie moich najgorszych lęków i w ten sposób mogłam się z nimi zmierzyć, i od tego czasu wiele razy z nim lub z innymi grupami byłam w Oświęcimiu. Obok przerażenia tym, co Człowiek Człowiekowi mógł uczynić, natknęłam się w jeszcze okropniejszej wyrazistości na to, czego boję się najbardziej: są ludzie, którzy gdy dostaną coś do wykonania, nigdy nie pytają "dlaczego" i nie potrzebują moralnego uzasadnienia swojego zadania, lecz tylko szukają możliwości perfekcyjnego wykonania i uznania. Potencjalna świadomość czynienia krzywdy nie ma najmniejszej szansy, aby się ujawnić i zadziałać. Zamiast tego ludzie ci wpadają w zachwyty nad własnymi dokonaniem. Podczas mojej wizyty w Oświęcimiu, gdy dokładnie czytałam wystawione tam dokumenty, przekonałam się, jak uzasadnione były moje dotychczasowe lęki. Już wiem, że zawsze mi będą towarzyszyły.

Moje doświadczenia z pierwszego zbliżenia się do Polski, do jej ludzi i historii podziały na mnie prawdziwie wyzwalająco, pokazały mi, że jedyną drogą do pokonania lęków i uprzedzeń jest spotkanie z ludźmi.

3. Dojrzałe partnerstwo

W opisywaniu tego, jak wygląda partnerstwo Bethel-Kraków chciałabym się nieco ograniczyć. Jedna część odnosi się do wymiany doświadczeń w pielęgnacji. Towarzyszyłam mu w trakcie powstawania partnerstwa szczególnie intensywnie, dlatego mam tu najwięcej do powiedzenia. Na przykładzie wymiany najlepiej też widać problem dawania i brania po obu stronach. W części drugiej chciałabym zająć się problemem szczególnym, tak zwaną specyfiką naszego polsko-niemieckiego współdziałania. Oczywiście od razu nasuwa się myśl, chociaż hipotetyczna, czy współpraca z kolegami z innego kraju układa się całkiem inaczej, czy prowadzi do innych wyników.

Jedną okoliczność jednakże - i to chcę zaznaczyć od razu na wstępie - podczas tych wszystkich lat miała decydujące znaczenie, a mianowicie ta, że radość i ciekawość z pierwszego naszego spotkania z Anną Przewłocką przetrwała. W czasie wszystkich moich odwiedzin w Krakowie byłam gościem w jej domu, a w licznych rozmowach miałyśmy okazję, oprócz wielu spraw, dalej planować i wcielać w życie nasze partnerstwo krok po kroku. Nasze kontakty były znacznie łatwiejsze dzięki temu, że Anna dobrze zna niemiecki. Ta stała, także osobista bliskość - a także możliwość porozumienia się, sprawiły, że intensywnie mogłyśmy kontaktować się ze sobą i to stało się ważnym kluczem do wieloletniej dobrej współpracy. Wszystko to pozwoliło nam intensywnie zajmować się sprawami w taki sposób, że nawet z kolegami niemieckimi nie mogłoby to wypaść lepiej.

Tak na przykład, w pierwszej fazie wymiany centralnym problemem w pracy psychiatrycznej - bardzo często - był ważny problem stosunku między lekarzami a pielęgniarkami. Stwierdziliśmy, że w Polsce, tak jak w Niemczech, wyniki starań obu grup zawodowych o pacjenta tracą, gdy pracy jednej grupy zawodowej, a mianowicie lekarzy, przypisuje się o wiele więcej znaczenia, niż pracy pielęgniarek. Nasza przynależność do Polski, czy do Niemiec, a więc do różnych krajów, ułatwiła nam konfrontację jako członkiniom tych obu różnych grup zawodowych. W każdym razie możliwa stała się otwarta współpraca, którą często mogłam realizować w Niemczech. Myślę, że obie wygrałyśmy przez te wspólne rozmowy. W każdym razie mnie samej pomogły one w uzyskaniu większej jasności w formułowaniu własnych punktów widzenia i przekonania.

Sposób, w jaki Anna Przewłocka jako lekarz zaangażowała się dla sprawy partnerstwa w pielęgnacji i to ile wniosła do wymiany, zasługuje na szczególny szacunek. Przez te wszystkie lata była pośredniczką, pomocniczką, a wreszcie inicjatorką wszechstronnych kontaktów.

A teraz o naszej wymianie w dziedzinie pielęgnacji: było jasne, że konfrontacje fachowe w odniesieniu do pielęgnacji psychiatrycznej oprócz innych spraw związanych z taką wymianą, nie mogą być omawiane na seminariach, lecz wymagają innych form wzajemnego współdziałania. Chodziło bardziej o to, aby bezpośrednio poznane praktyczne zasady pracy przenosić na swoje warunki. Corocznie więc dwie grupy pielęgniarek i pielęgniarzy po dziewięć osób w grupie, przez tydzień gościły w Bethel na kursach psychiatrii, która ze strony Bethel jest partnerem tej współpracy.

Kurs zawodowy ze swej strony, który zawsze liczył około dwudziestu uczestników, odwiedzał od dwóch lat swej działalności Kraków na okres jednego tygodnia, zawsze przygotowany na spotkanie z Polską, jej ludźmi i historią. Poza tymi wizytami były jeszcze długoterminowe hospitacje krakowskich pielęgniarek i pielęgniarzy w Bethel. Nasze niemieckie koleżanki i koledzy, w czasie ich wizyt przeważnie w Szpitalu im. Babińskiego, zawsze byli pod wielkim wrażeniem, jakie robiła na nich praca polskich koleżanek i kolegów. Na pierwszy rzut oka stan pomieszczeń i ich wyposażenie oraz duża liczba pacjentów w

pomieszczeniach wzbudzały przerażenie przez kontrast do warunków w jakich przywykli oni pracować. Ale zaraz potem grupa umiała dostrzec wzajemny stosunek i budowanie wzajemnych relacji między pacjentami a pracownikami.

Oczywiście, ten dla nas niewiarygodnie niewspółmierny stosunek liczby pacjentów do liczby pracowników wymagał innego rodzaju pracy. Pacjenci pomagali pracownikom, gdy było to konieczne i w wielu dla nich trudnych sytuacjach stawali po ich stronie. Sami więc wnosili po części swój udział do atmosfery oddziału, i czuli się za to odpowiedzialni, na ile było to dla nich możliwe. Wyraźnie było widać, że w czasie naszych wizyt czuli się gospodarzami, inaczej niż to było u nas w Niemczech.

A to, w jaki sposób tworzyła się atmosfera między pielęgniującymi, a pacjentami, a mianowicie ze spokojem i wrażliwością i swoiście innym rodzajem bliskości, niż ten, jaki znaleźliśmy, dawał nam wiele do myślenia oraz inspirował naszą pracę podczas kursu. Było dla nas jasne, jak bardzo się przyzwyczailiśmy do tego, aby nośne struktury i pozytywne warunki mieć już gotowe w swej pracy, nie musząc nawet o nich myśleć. Nie chciałam być źle zrozumiana. Jestem daleka od tego, aby idealizować warunki pełne braków. Ale w Krakowie przeżyliśmy to osobiście patrząc, jak kreatywność i siła twórcza rozwijają się z konieczności, która w sensie dosłownym winna być koniecznie zaspokojona.

Problem braków zajmował nas przez pierwsze lata partnerstwa na wielu płaszczyznach. W obliczu biedy Szpitala Babińskiego z materialnego punktu widzenia; brakowało odzieży dla pacjentów, leków, mebli, krótko mówiąc - wielu rzeczy potrzebnych klinice psychiatrycznej - zdecydowaliśmy się poszukać pomocy na drodze wsparcia praktycznego. Byliśmy świadomi, że tego rodzaju akcje pomocowe mogą też być uciążliwe, jeśli dawanie i branie może zagrozić popadnięciem w nierównowagę. Któż chciałby być ciągle tylko biorącym. Ale sądzę, że udało nam się zaradzić temu niebezpieczeństwu. Natomiast to, co otrzymaliśmy w Krakowie, było o wiele ważniejsze i jedyne w swym rodzaju, krótko mówiąc to był także prezent dla nas. Ale o tym opowiem później.

W ogóle było tak, że polskie Ministerstwo Zdrowia zadbało o transport tych zebranych przez nas rzeczy i przejęło tym samym część zadania, które dla nas było nie do rozwiązania. Nasz kurs zawodowy jednak zbierał, organizował, meblował i pomagał w taki sposób, że te wielkie polskie ciężarówki zostały załadowane. Każdy z uczestników tej akcji przeżywał to, pomagał jak tylko potrafił, aby poza czasem swojej pracy i obowiązków domowych coś zrobić. Myślę, że niektórzy z nich zyskali dobre doświadczenie. Także to zawdzięczamy naszej współpracy.

Zawsze w czasie pobytu w Bethel, nasi polscy goście mieszkali u swych niemieckich kolegów. Najpierw działo się tak z powodu oczywistych braków innego rozwiązania, ale w praktyce potwierdziło się jako doskonała forma innych, jeszcze mocniejszych kontaktów. To było piękne, obok kolegów z pracy poznawać ich rodziny. W czasie naszych wizyt w Polsce działo się tak samo: my mieszkaliśmy prawie bez wyjątków u rodzin kolegów polskich. Często dla dzieci były to pierwsze okazje do spotkań ludzi z innego kraju, którzy byli gośćmi w ich domu.

Gdy wspominam grupy krakowskie z ich pobytu u nas przed laty, odczuwam zadziwiającą zmianę. W latach początkowych naszej wymiany było jeszcze tak, że prawie wszyscy z nich byli przytłoczeni materialnym rozmachem naszego wyposażenia i smutni, że oto w ich własnym miejscu pracy w Krakowie tak mało jest możliwości, wtedy też uwidaczniała się u nich postawa bardzo krytyczna. Wypowiadali się w taki sposób: "Jaką my byśmy urządzili psychiatrię, gdyby nam dać te Wasze warunki; a my pracujemy w naszych warunkach, tak jak pracujemy. Dla nas dystans, jaki Wy macie do pacjentów jest za duży". Mnie, jako opiekunkę grupy gości z jednej strony to bardzo ucieszyło, że grupa się tak zmienia i że tak wyraźnie u nich czuje się wzrost świadomości. Jednocześnie jednak w naszych wzajemnych stosunkach

pojawiły się bardziej krytyczne spostrzeżenia. Zauważyłam nagle, że w czasie naszych wizyt w niektórych zakładach prezentowano nam pomieszczenia i ich wyposażenie w taki sposób, jakby to było to, co właśnie nam należy pokazać, szczególnie pracę psychiatryczną. Co jednak czasami opisywano jako pracę psychiatryczną, nie zawsze dokładnie szło z nią w parze przez atmosferę i sposób relacji.

Teraz chciałabym - w następnym etapie- odtworzyć przed oczyma Państwa taki obraz, który ilustruje różnice i tym samym ukazuje część polskiej specyfiki, która nas tak wzrusza w naszym partnerstwie. Obraz ten należy tylko pośrednio do naszego partnerstwa Bethel-Kraków. W lipcu miałam okazję towarzyszyć grupie studentek i studentów z Kilonii w ich podróży do Krakowa. Celowo także poszliśmy śladem naszej współpracy i odwiedziliśmy Szpital Babińskiego. O godzinie dziesiątej rano zebraliśmy się na oddziale 7b, aby posłuchać historii szpitala. Kilkoro studentów miało rzadkie miny, gdyż po raz pierwszy w życiu oglądali klinikę psychiatryczną. Pacjenci wyczuli to ich zaniepokojenie. Przygotowali herbatę i kawę, podawali ciasteczka. Jeden z mężczyzn usiadł do fortepianu i zagrał walca. Kilku panów poprosiło zaskoczone studentki do tańca i było z tym sporo radości, jeśli ktoś potrafił ją znaleźć. Lody zostały przełamane w tak wesoły i uroczy sposób, jakiego doświadczyłam tylko w Polsce.

Tym przykładem chcę potwierdzić talent Polaków, z którego czerpaliśmy przez ostatnie dziesięć lat ponad miarę, a mianowicie ich talent do bycia gościnnym. W pierwszych naszych spotkaniach od tej ich serdeczności i szczodrości trochę pokręciło nam się w głowach; musieliśmy jednak stale pamiętać o dwóch rzeczach: po pierwsze - jak my się zrewanżujemy, a po drugie - czy nasi gospodarze zbyt wiele na nas nie wydali. Jednak później, gdy oprócz pragnienia dawania wykuło się poczucie umiejętności brania, rozkoszowaliśmy się w pełni tym polskim talentem. W moim życiu chyba nie świętowałam tak pięknych uroczystości, jak te u moich polskich gospodarzy.

W Polsce przeżyłam coś jeszcze innego, czego nie spotkałam w domu, ani w innych krajach. W Polsce o wiele mniej niż gdzie indziej musiałam myśleć o tym, czy to, co robię, rzeczywiście robię dobrze. Gdybym dzisiaj była bardzo poważna, a jutro całkiem szalona, gdybym teraz płakała, a zaraz potem była spokojna, to będąc w Polsce wiedziałabym, że takie przeciwieństwa są całkiem na miejscu i łączą się w cały obraz emocji, który przystoi mi i moim odmiennym stronom. W domu boję się czasem tego, że różnorodność może być przeciwnością. W Polsce nauczyłam się, że po odwiedzeniu Oświęcimia można pójść na koncert, na którym też się tańczy.

Smutek i przerażenie mają też miejsce obok innych odczuć i nie przysłaniają ich. My Niemcy wolimy "tak, albo tak". W Polsce poznałam jeszcze "tak i tak i może jeszcze tak" i bardzo dobrze się z tym czułam.

Zadawałam sobie pytanie, jak taka postawa przekłada się na pracę w psychiatrii i pomyślałam, że w taki sposób rozpiętość możliwych zachowań jest poszerzona o coś jeszcze, zarówno u pacjenta, jak i u pracownika. Profesjonalizm w pracy psychiatrycznej wydaje się włączać formy wrażliwości, które u nas nie są w zwyczaju.

Chcę jeszcze powiedzieć o innej szczególności, z którą bez wątpienia jest mi bardzo trudno. Nie wiem do tej pory także, czy nie przypisałam tego problemu sobie, jednak jest tak, że powstaje trudność w układzie grupa polska, czy jakkolwiek inna - i ja.

W więc: chcę z grupą odwiedzić Szpital pod wezwaniem Świętego Rocha w Telgte. W wieczór poprzedzający proszę członków grupy, aby rano punktualnie zacząć śniadanie. Do Telgte jest daleko i ciągle muszę wysłuchiwać uwagi na miejscu, że tylko ja z grupami przyjeżdżam za późno. Ja, jako człowiek prywatny nigdy nie przychodzę za późno, lecz nawet o wiele za wcześniej.

Następnego ranka tylko mała część uczestników stawia się o umówionej godzinie na śniadaniu. Stale dochodzą następni. No dobrze. Dwaj z nich pojawiają się kilka minut po wyznaczonej godzinie odjazdu i kompletują sobie solidne śniadanie w bufecie naszej kliniki. Przypominam, już nieco zła, o ustalonym czasie wyjazdu. Uwaga ta wywołuje u spóźnialskich dłuższą wesołość. Wtedy właśnie rozpoczyna się śniadanie. Gniew narasta we mnie i wiem, że nie uda mi się go zdławić. Więc najlepiej będzie, jak wyjdę z kawiarni i będę przechadzała się po korytarzu tam i z powrotem, być może mruczając pod nosem jakieś niesłyszalne złorzeczenia. Wreszcie śniadanie skończone. Wtedy jeszcze trzeba zapalić papierosa i szybko odwiedzić toaletę. A potem prosto, w prawo i w lewo. Jedziemy.

Sądzę, że chciałam unaocznić, w jakie konflikty przez to popadłam. Byłam rozpięta między dwoma światami i jednocześnie popadłam w konflikt z samą sobą. Dlaczego jestem taka drobiazgową, że nie mogę odejść od moich planów i pozwolić, niech to po prostu leci, jak chce. Dlaczego chciałam być porządna, i nie być spóźnialską. Ale - tak mówiło moje wnętrze - w Telgte dostosowano się do nas i nie należy kazać na siebie wyczekiwać. Dla grupy w zasadzie nie było to problemem, było jak było. Poza tym: gdy moja irytacja już była niewidoczna, mówiono tylko po polsku. W tym momencie poczułam się bardzo daleko od tej grupy i nie umiałam ścierpieć ani siebie, ani moich gości. Miałam im to trochę za złe, że nie sobie nie robili z mojej solidności, którą w sobie cenię.

Było tak, jak to się czasem dzieje w wymianach; przeżywa się momenty wyobcowania, niemożności zaakceptowania i przetrzymuje się te momenty, ponieważ dobrze się wie, co otrzymuje się od innych. Dotyczy to szczególnie naszego partnerstwa niemiecko-polskiego mimo tych momentów, w których przerażająco wyraźnie dociera do mnie, jak dużo z tych cech, jak dokładność i poczucie obowiązku, właśnie tych cech, które przypisuje się Niemcom, mam w sobie ja.

4. Co jest potrzebne, aby utrzymać takie partnerstwo

Aby utrzymać takie dojrzałe i wypielegnowane partnerstwo, ważnym jest, by podtrzymywać obecnie to, co uczyniło je takim żywotnym. W naszym przypadku motorem napędowym i decydującym było od początku zainteresowanie ludzi- ludźmi z innego kraju, ich warunkami życia i warunkami pracy, ich wzajemnej relacji. Otwartość ludzi na innych uwolniła ich od dzielących i budzących lęk strasznych skutków historii niemiecko-polskiej.

Przy tym, te obciążenia w żadnym razie nie miały być nam oszczędzone. Ale właśnie dlatego, że mają one taki ciężar, zbliżenie osobiste było tak ważne, aby pomimo to znaleźć drogę do siebie. Zbliżenie poprzez poznawanie spraw i problemów nie da jeszcze życia partnerstwu, które dla nas przez te lata zyskało tak wielkie znaczenie.

Sądzę, że wiele rzeczy, które w tym czasie przeżyliśmy, można dzisiaj odnaleźć w naszej pracy psychiatrycznej. Ponieważ różnice jakościowe jednego, czy drugiego rodzaju zbliżenia stają się bardzo wyraźne. Można "uprawiać" psychiatrię pozostawiając ją taką, jaką jest, obserwując, przyporządkowując, wypełniając obowiązki. Można jednak także wejść w relację i spróbować pokonać obcość i wyobcowanie w sposób, w jaki najlepiej potrafimy, aby lepiej zrozumieć obce światy i "obce języki" oraz ich sens. Drogi, które wybiegają z takiego źródła "poruszać siebie i innych" są i będą różne. W tym względzie gotowość i zdolność do tworzenia takiego partnerstwa, jak między Krakowem i Bethel jest także miernikiem tego, jak można taką współpracę wcielać w życie w pracy psychiatrycznej.

Aby taka współpraca i wymiana, jaka piękna by nie była, nie stała się zbyt wielkim obciążeniem, to każdy w niej uczestniczący powinien sobie przemyśleć, jaki wymiar czasu i siły może do niej wnieść oraz jak długo może się angażować. Do pojęcia "żywotność" należy także to, że we współpracy znajdujemy radość z obcowania z sobą i ze stosunku do siebie. Partnerstwo takie będzie żywotne tylko wtedy, gdy ta radość nie wyczerpie się, nie zużyje w wyniku zbyt wielkiego obciążenia. W tym właśnie sensie życzę nam wszystkim właściwej

miary, aby móc przeżyć i utrzymać to, dla czego Anna Przewłocka i ja jako pewne symbole, dzisiaj stoimy tu przed Państwem.

Dziękuję Państwu za uwagę!